891.85
B859
Os

SNY I RZECZYWISTOŚĆ

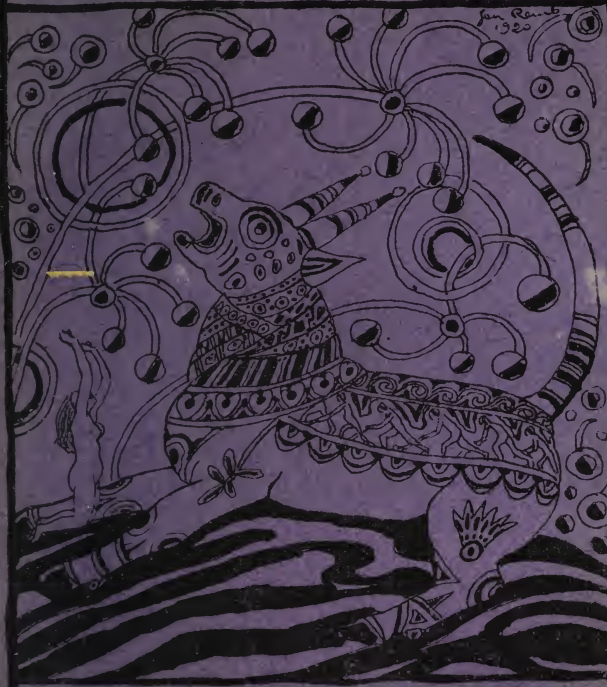

WACŁAW BUDZYŃSKI

WACŁAW BUDZYŃSKI

SNY
i
RZECZYWISTOŚĆ

Warszawa, 1920 r.
Nakładem Tow. Wydawniczego „Światło"
Wspólna 17.

Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.
Okładkę i winiety rysował

JAN REMBOWSKI

Odbito w Druk. Narodowej w Piotrkowie

o Bykowska, l. 71. o

891.85
B559
Os

Sny i Rzeczywistość

Chimera.

W sen głupi, w sen spokojny
przedarł się krok morderczych armji,
szalonych krzyk, szczęk wojny.
Załopotały, trzepnęły w oczy chorągwie.
Jąłem stary świat walić,
czerepy tłuc, krwi stągwie
rozlewać,
palić...
Mój krok w morderczym kroku armji
musi iść i w marszu śpiewać.

W sztandarach skrzydła rozpościera
i głód swój mordem moim karmi
chimera.

Legenda czynu.

Wciąż sny... Dokoła sny...
Więc też o Polsce śniłem sen,
że, gdy położę szczęściu kres,
wtedy powstanie z morza łez
wolna. Senne mamidła
budziły łzy... wciąż łzy...

Woli obciąłem harde skrzydła
i z myśli gminu,
jak kazał Ten,
nasz wieszcz, — wybrałem jedną:
kowalem być polskiego czynu.

Schodzę do ojców moich kuźni,
do historycznej polskiej ciemni,
by tak, jak ojce, syny później,
z wolą pokorną i bezwiedną,
pancerz złocisty sobie kuć
z herbem poświęceń i ofiary.
A wciąż niewolni, wciąż podziemni.

Zdusiłem chrobrej władzy chuć,
lecz nie mam wieszczów moich wiary,
że kowal czynu w kuźni *starej*

ze złota ofiar Polskę stworzę,
choćbym tą blachą okuł świat,
chociaż ofiary pancerz włożę.

Jednak kowałem wiele lat...

Czas, pająk życia, snuł swą nić
i stara kuźnia szła już w gruz,
ja zaś bić
nie ustawałem.
W sztolni ciemnej
na mym kowadle
był dla mnie życia Polski mus,
więc pracowałem,
zawsze niewolny, bo podziemny.

Aż przyszedł czas, kiedy zajadle
targnęły wichry kuźnią starą
i polski ptak,
który się chował ze mną w sztolni,
odleciał. To był znak.
Piorun ugodził w moją myśl: niewolni
wzgardzą podziemną już ofiarą,
pancerz złocisty rzucą precz,
sny trza zdruzgotać, łzom dać kres,
bo z krwi, nie z łez
powstanie Polska, Żywa Rzecz.

Wolności chcę, zatem mam wolę,
czego zapragnę, wnet się ziści, --
oby o kuźni sen mój zczezł
rozbity.

W pracowni mej młot stał od lat,
młot nienawiści.
Porwę za młot. Lecz czy go dźwignąć zdolę?

Boże! Młot ciężki, jak stulecie łez.
Młot dźwignąć! Prędzej! Cały świat
już w krwi. We krwi rozbłysły ludów świty,
ludy się krwawą poją wiosną,
a my — we snach... Czyż nie wypłyniem na
[krwi morze?...

Mocą wypełnion przeradosną
dźwignąłem młot. — — Zorze! Zorze!

W okopach.

Las cichy, jak zaklęty bór,
tylko z brzóz sennych liść opada.
Ten szept to nasz tragiczny chór —
ze śmiercią wolność w lesie gada.

Niby otwarty wielki grób — polskie okopy
na straży ziemi, przed nami zaś wróg,
a my, ojczyzny wierne chłopy,
wolności kładziem żywy próg.

Wymowni w rowach, w piachu, w glinie,
gardzimy dawną deklamacją,
trup protestuje ojców winie,
jest krwawą Polsce dedykacją.

W ziemiankach ciemnych utknął los
tych, komu czara śmierci słodsza
nad jęk niewoli. Stąd nasz głos
wylega mściwy — pieśń najmłodsza.

I Polska tu Najmłodsza z krasy
tęsknot i śmierci — wznieca brzaski.
O Polsce szumią wokół lasy...
Dzień listopada wo-an w piaski...

Nasz czyn trwa w ogniu, w kul świegocie,
jako wolności polskiej próg, —
choć unurzany w krwawem błocie
uderza w okop zgonu kruk.

Wolności w oczach ma miraże,
kto padł. Na krwi rabacie trup,
kwiat męstwa — —
Okopów wąskie korytarze,
tęsknoty młodej sławny grób.

Dzień 30 lipca.

W rocznicę wkroczenia do Lublina I-go dywizjonu ułanów.

Z Węglina szły ostatnie rosyjskie patrole.
My za nimi. Przed nami zbóż szelestne pole
i miasto, co czekało w pożarach i dymie.

Polsko! Czy rzucił kto już w tłum Twe imię?..

Zaskrzepła w oręż, wierny Ci do zgonu,
myśl, którą budził szczęk kopyt szwadronu.
Wiew szczęścia leciał w głąb ulicznych cieśni.

Polsko! Tworzymy rytm Twej wolnej pieśni...

Twój żołnierz w dniu tym wnosił do Lublina
sen o potędze, polską broń do miasta.
W melodji wjazdu rozdźwięka godzina
jutra. Z pieśni i snów tych czyn wyrasta.

Odtąd nas tylu padło w różnych szlakach,
że krwią by oblał cały do Was trakt.
Żołnierz polski z niedolą zawarł pakt.
Rośnie legenda o zmęczonych ptakach.

Wspomnienie wjazdu przywarło do powiek.
Być jawą pieśni... Płynie dziejów rzeka.
Samotny w mroku krzyk — to wolny człowiek.
Marzenie, niby sława, krwią ocieka.

UŁAN i DZIEWCZYNA.

UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN

1. Dwa światy.

Dwa światy: Twój i Mój.
Jak tęcza, spaja nas tęsknota.
Zabryzgał krwią dziś bój
nasz sen. Tragiczna losu psota.

Na wiersz misterny barkaroli
legł śmierci cień — krwi szarfa.
Powstrzymaj myśl. Wspomnienie boli.
Zmilkła ostatnia szczęścia harfa.

Jeślim ubroczył we krwi ręce,
to za to skrzydła nurzałem w tęsknocie,
a dobywany z prozy w męce
czyn był snem o krwi i o pieszczocie.

Dwa światy znała myśl: marzenie
oraz grozę wojny, ognia, krwi.
Honor i Ty. Ty i szabli lśnienie.
Ty i zawarte przed mem jutrem drzwi.

Zawsze Twe imię nawet ci, co giną,
mieli na ustach... Barwna wstęga

piosnki ułańskiej wiąże Cię, dziewczyno,
z Polską. Dwojga serc potęga,

kochanie, razem świat przemierza
z krwią. W Twych oczach szczęścia i wesela
blask, wizja krwawego żołnierza...

Ułan polski podjął pieśń minstrela.

---

2. Po co te łzy...

Po co te łzy, dziewczyno?
Po co te łzy?
Tęsknoty twe przeminą,
jak wszystkie sny,
i łezki z bladej oschną twarzy,
niech ci się jeno bajka zmarzy:
ułan z dziewczyną,
Ja i Ty.

Ułańska pierś — rabaty krwawe,
fantazja wichru — bierz to djabli!
Symbol: rabaty — serce prawe,
wichrowy świst — błysk naszej szabli.

Ta krew na piersi i te blaski
są żywą, czynną pieśnią męstwa.
Sława nas kocha, a jej łaski
czyż nie legendą są zwycięstwa?!...

Sława nas kocha, zatem chwyta
z ułańskiej piersi serca pąsy,
że o dziewczynę ten nie pyta,
ze śmiercią w bitwach idąc w pląsy.

Lecz gdy wojenne gody miną,
ułan przed tobą się ukorzy,
odbierze sławie krwawy łup
i kochające serce złoży
u twoich stóp, dziewczyno,
u twoich stóp.

---

3. Spłoszyłem ..

Spłoszyłem z pióra mojego sny złote,
dłoń ukochała już gardę pałasza,
lecz budzę zgasły serca płacz, tęsknotę,
gdy mię doleci płocha piosnka wasza.

I biegnę wtenczas myślą do okienka,
pod którem cudne, ciche malwy rosną.
Śni mi się: ułan przed dziewczyną klęka...
Przyjadę do cię nowych czasów wiosną...

Przyjadę po to, by w twoim ogródku
sny serca wyśnić, poznać słodką ciszę.
Piosnka miłosna zgasi słowa smutku,
pierś mą strudzoną sennie zakołysze.

Ale ty nie wierz tej ułańskiej skardze,
bo ciszą wieczną, chociaż słodką, gardzę
i w życiu swojem rozgwar bitwy wolę — —
byle raz jeszcze prześnić barkarolę.

Tyraljera.

Ludzkie głosy przepadły. Zgiełk bitwy
rozgrzmiał w ryk. Jęk armat. Wybuchy ognistsze
darły ziemię. Gwizdki, znaki... Gonitwy
koniec tam, gdzie szaniec. W tornistrze
na plecach dudni serce. Mdło. Spieka
tchnie w gardziel żarem. Nie znam wody.
Każą paść i strzelać. Padam. Szczeka
broń w ręku, że aż boli ramię. Młody
dźwięk karabinów tańczy po polu, kołysze
kwiaty, szpicem kul bije w trawę tuż u głów.
Nie znam lata, nie znam piękna... Słyszę
mowę tyraljerską strzałów słów.

Zerwać się! Naprzód!... Gdzie reszta? Biegnie.
Szarą linją, równo... Może kogo brak?...
Nie wiem. Ktoś zawsze legł abo i legnie,
niechaj o nim poezja pamięta. Tak
myślę. Wtem krew na mundur mi pluszcze.
Potok krwi z twarzy, jakbym wino pił.
Radość i śmiech. Krzykiem żołnierzy poduszczę.
Śmiech i krzyk lwi. Ze wszystkich żył
krew do rany uderza lwia, potok krwi
urasta w grzywę lwią na czole.
Usta śmieją się. Niezłomne młode brwi...
Kwiaty — kwiaty... W pąsach całe pole...

Cmentarz żołnierski.

Wzgórze śród lasu, albo kąt śród pól.
Żołnierskiej ptak
tęsknoty skrzydła tu złożył —
(radość to czy ból?) —
i uwiązł w gęstwie drzew lub traw.

Kto kiedy pojął i przetworzył
w mądrość doświadczeń śmierci znak?...
Kto wie, co mówi grób,
gdy noc, jak paw,
rozpuści pióra ciemne mroku?...

Czyjś kres.
Żołnierski trup.

Po jakim to serdecznym stoku
ulewa płynie łez?...
Niepowstrzymany i daleki
płacz... Szum drzew...
Nigdy!... Na wieki!...
Ostatni dzwonu jęk i śpiew...

Kto oni są — ci młodzi?

Życie sprzedali za sztandary.
Po całej Polsce dzisiaj chodzi

ich czyn i — słucha.
Ich nekrologi
są testamentem nowej wiary:
wolności uznać przymus srogi,
z potoków krwi wolność wybucha,
czynnie przez krew, zdobywać los.

Gdy myśl samopas w przyszłość lecąc marzy,
usłyszy mogił bezimiennych głos
i na pustkowie trafi żołnierskich cmentarzy.

Stolica.

1.

Miasto dalekie, coś jak sen,
jak zmora gmachów, wież. Potęga
twarda pod zmierzchu modrą tarczą.
Od gór i równin myśl tu sięga
po wypełnienie i po sen...
Pod ciżbą nóg ulice warczą,
niewolne miasto głucho drży.

Gdybyś wiedziała, Ty, Stolico,
że żołnierz z myślą marł o Tobie
śród lśnień bagnetów, w krwawej rdzy
i że pieśń czynu swego w grobie
Tobie przekazał!...
Kiedyś te pieśni Cię zachwycą.

Dola żołnierska wali w drzwi...
Płyną podziemną krwawą rzeką
wszystkie kałuże, krople krwi
aż tu, do Ciebie. Drży Twój próg.
Sączą się krwawe łzy i cieką,
póki nie buchną na Twój bruk
strugą bez końca. Pełno krwi
świeżej... Opar stąd ciągnie, niby głos,
na strych, gdzie wieszcz opiewa

lot orli, sny i czynu cios.
W suteryn okna się przelewa,
gdzie głód i nędza — pomruk lwi.

Jakiś okropny nocą krzyk...
W ponure ulic korytarze
krew woła.
Słucha miasto albo ja marzę.
Wyległ żołnierski trupi gmin i znikł.
Miasto zamarło.

2.

Gabinet — luks. Stłumionych ech
melodja. Dźwięczy szkło.
Kolacja. Wino. Pryska śmiech.
Rozmowa lekka, to a to.

Nastrój się rwie. Filister śni?...
Groza go nęka czynnych dni. —

»Widziałaś? Słońce zaszło krwawo,
»dziwnie czerwony głośny bruk.
»Jednak nie przejmuj się tą wrzawą:
»podziemny rytm, podziemny stuk«.

»Nieuniknione bytu prawa,
»że każde miasto wielkie tkwi,
»czy to Petersburg, czy Warszawa,
»na nędzy, głodzie, wrzawie, krwi,

»jak kwiat na bagnie. Chociaż jeszcze
»wmawiają w nas, że gdzieś na dnie

»jest wola, krzyk, klątwy złowieszcze,
»które wybuchną«...

W zabaw pianie,
w pomruku nędzy, w śmiechu drwin
przepadło nasze królowanie,
zszedł do podziemi sen i czyn.

Tężeje wola tamże, w sztolni.
Tu koło twarde, ciężki mur.
Tutaj niewolni, a tam wolni.
Tutaj tragedja, a tam chór.

3.

Bez Polski miasto — oto Ty.
Budzili Ciebie krzykiem krwi i pieśni.
Trwa sen zły.
Więc biorę hełm rycerski z pleśni
i zakurzone orle skrzydła —
we zbroi dawnej nowy czyn...
Powiewa buntem forga harda...
Żołnierz — ojczyzny prawy syn —
Mówisz: »trupie straszydła«...

Wzgarda
zbudzi cię dziś albo zabije, filistrze!
Siłę mego wzroku rozżarzę, rozbystrzę,
wydrę sonatę twoich ócz, ja — »trup«...

I czyniąc, — z nędzą wezmę ślub.

Mundur.

Matce.

Mundur — zwyczajny gałgan szary,
cuchnie zeń pot i brud i pył
marszów i bitew.
Pomyśl, gdzie był...

Mundur — zwyczajny gałgan szary,
stawał się nieraz siedliskiem wszy,
świadectwem nędzy,
Wspomnij los zły...

Zdobi go krzyż Pierwszej Brygady,
wstęga Virtuti Militari,
a jednak...
Mundur — zwyczajny gałgan szary.

Żebyś go nawet w szafie skrył,
żebyś nim oblókł godne mary
historji...
Zawsze — zwyczajny gałgan szary.

Ale gdy przyślą matce wieść
i wraz z tą wieścią mundur stary:

syn zabity!
Wtenczas — inakszy gałgan szary.

Wtenczas — o, synu! — matki usta
pieszczą kochane ślady krwi,
twój mundur.
Wtenczas... Nieprawda! To się śni...

Zwierza się cicho mundur szary,
matka doń szepce poprzez łzy:
syneczku mój!
oto jest mundur, a gdzie ty?...

Więc nigdy?... Nie, to nie do wiary,
żeby mógł syna mego przeżyć —
o, ślady krwi! —
zwykły, wytarty gałgan szary!..

Zwykły, wytarty gałgan szary...
Przeklęty bądź, że żyjesz dłużej
niż syn!
Przeklęty bądź, szary mundurze!

Jednak te szmaty, trochę krwi —
to są ostatnie syna dary.
Mundur — syn mój!
Umiłowany mundur szary...

Złożę me serce w mundur szary.
Najdroższe, krwawe syna szmatki —
syneczku śpij! —
utulą biedne serce matki.

Dziedziniec w koszarach.

Czworobok koszar wielki, ponury.
W środku dziedziniec, puste boisko.
Kobierzec darni
niewydeptanej pełza pod mury,
gdzie drzewa nisko
chylą zielone nieruchome łby.

Mali i niezdarni,
dwa miłujące się wrogi —
Naród i My —
nie chcieli wrzasku surm,
zwycięstwa.
Legł sen rycerski w cieniu koszar turm.
Miecz, co nie znał plam ni trwogi,
zaginął. Harda rzeczywistość zmarła.
Pękła pawęż, jedyna dziś osłona męstwa.
Kaskadę piór w szyszaku pleśń zeżarła.

Aż nadszedł dzień — słoneczna spieka,
w pomruku dział,
w rozjęku broni.
Przywiodła nas krwi rzeka.
Za nami stosy ciał.
Owładnęliśmy kwadratem ścian, boiskiem.

Ćwiczebne tętenty koni
szarpały murawę. Krok
ciężki mustry pył podniósł z piasku.
Groty lanc błyskiem
mignęły orlich źrenic. Drapieżny wzrok
sięga po łup...

Porwał się od wrzasku
szeregów — sen, gnijący trup.
Ojczyzna, to, co w pieśni, nie w rzeczywistości,
widma i słowa — wszystko się w dwurzędy
zwarło żywe, groźne. We zbrojnej srogości
twarda, czynna jawa...
Wicher królewskiej legendy
powiał, zaszumiała sława.
Chciwość władcza, nieokiełznane życie,
potęga ramion... Skrzydła rozsunąć!..
Kowale kują konie: dzwonów bicie —
szczęk podków. Masą wojska runąć
na podbój...

Do kolegi.

Gdy cię przygniecie życia mozół szary
i dłoń strudzona przewróci te karty,
przeszłości naszej medaljon wytarty, —
wychylże mądrość z mojej skromnej czary.

Jesteśmy wszyscy my, ułańska brać,
poezją marzeń tych, co tylko wierzą,
ale nie mogą, tak, jako my, stać,
mając krzyk »Polska«! za odzew pacierzom
śmierci wśród bitwy. I choć często proza
wali się na nas kwater, szarych dni,
to przecież jawą — szabla, mundur, sny,
które wciąż Polska o żołnierzu śniła,
kiedy niewoli na kraj padła groza.
Wolność w codziennym bycie nam ożyła,
każdy dzień bramę otwiera historji,
nawet kwatery posiadły coś z glorji
czynu... Pamiętne wszystkie chwile będą,
które przyszłości naszej są legendą.

Gdy życie ludzkie tętna czynu zbędzie,
moment powszedni niech cel ma w legendzie.

Sława.

Wicher gnie dumną forgę z piór,
na hełmie zorza błyska —
(czyli to śnię, czy jawię?) —
dłoń moja piorun - brzeszczot ściska:
zabiję sen o sławie.

Od gór
wstaje rycerzy huf na boje.
Huf śni: we krwi skąpaną pieśń swobody
zaślubi los, ino trza iść
na bitew gody,
gdzie bierze w uścisk młode woje
kochanka losu, sława.
Ale snów hardych więdnie liść...
Czy mi się zdawa?..
Śród obcych pól, na śniegach — trupy
i kruków stada — sławy wieńce...
Ze sławą tak się trup rówieśni.
We skrzepłej krwi leżą szaleńce,
we skrzepłej krwi zgasł sen o pieśni.

Mój miecz mogiłę snów dosięże,
choć wicher łamie dumną forgę z piór,
udarem zwalę trupiej sławy cień,
mój wróg, o sławie sen, polęże,
i może zbudzę życia pieśń —
od pól do gór.

Sam na sam z orłem.

1.

Nawiedził mnie sen o władzy
i mocy.
Spadł do mych stóp
orzeł, lecz próżno badał moją radość.
Odbiegli wszyscy niewolnicy nadzy.
W głębokiej nocy
męce stało się już zadość.
Dawno wyrosłem ponad grób
i dawno łańcuch pęt przepiłowałem.
Orzeł — sen mój.
Orła musiałem
przemóc, z orłem zwieść bój.

Kolumny ramion wparłem
w bryłę piór,
targnąłem... Ócmą zaszły oczy
Skrzydła wielkie darłem
jak szmaty. Śród pól, śród gór,
od drzew do drzew
kłębiąca chmura... Krew broczy.
Werżnął mi orzeł w pierś swe szpony.

Gdzie bryźnie krew,
tam sen o władzy narodzony.

2.

W walce samotny,
nie zmogłem ptaka, choć też nie uległem.
Osaczył nas polotny
błysk bagnetów. Spostrzegłem,
jakom już odgrodzon
od tłumu, którym chciałem władać,
jak muszę zbyć bojowej nuty
i jak się świt oddala nienarodzon.
W kolczaste druty
zawarty z orłem sam na sam,
uczyłem się gadać
o snach i mocy
wymową źrenic. Ja tu — on tam,
w obu rogach bloku. Krwawiła
krew z orłowych skrzydeł
i mojej piersi. Każdy ciężko dyszał.
Niezmierny ciąg bezbrzeżnych nocy
w obręczy sideł
łączył nas, uciszał.
Spólna się budziła
tęsknota...
Razem wstać,
ująć dłonią mężną
kolczasty drut, rozmiotać bloki,
szponami, dziobem rwać,
odmachem lotnych śmig orężną
straż rozpędzić, wybiec, wylecieć..

Droga

Piasczysty trakt — daleki biały pas
w zieleni pól. Bezbrzeżna dal,
ogromne płaty mlecznej gryki,
las,
maki, jak krew, śród żyta fal
i znikająca ścieżyn sieć, srebrne poniki.
Polska: szmat ziemi głuchej leży
w więcierz gościńców uwikłany,
W gałęziach drzew sciszony szept pacierzy...

Jak ptak tęsknotą obłąkany,
myśl młoda zrzekła się swych gniazd. —
Idę przez Polskę w kurzu dróg,
pielgrzym bezdomny. Tkany z gwiazd
królewskich dum mój płaszcz,
koturny złote, w sercu pycha.
Ja — młody bóg,
poeta snów samotnych mnicha...
Wymarzę szczęście i kochanie.
Świat niby ogród. Miłość i morze.
Róże i śmierć Jedynych ust pocałowanie.
Wreszcie z posępnych nocy paszcz
wstające zorze...
To są me strofy. — Bije pył dróg
z pod mych obutych w złoto nóg.

Szkielety wsi i głodne miasta
przywarowały, niby psy.
A Ty?...
Tu twa poezja — a tam: brud,
cuchnąca, straszna polska nędza,
lękliwy, cichy polski głód.
Pióropusz dymów urasta
z cmentarzysk wielkich jako step.
Rozpacz. Zwija się myśl w pięść. Spędza
tabun snów szczęsnych i tabun widoków
rzeczywistości. Grzmią tętenty.
Zderzą się światy dwa: Naród i Chleb...
Smierć. Mogilnych oków
ciężar przywali zamęty.
Czyny bryzną po darni strugą krwi
i zmilkną. Od grobów do grobów
pełza płomienny wąż, poszept lwi,
i szuka myśli nowej lontów.
Znajduje — snobów,
albo bitewnych trupy rontów,
(pamiętasz?),
albo szumiący na mogiłach chleb.
Polska — bezbrzeżny głuchy step,
w powszedniej trosce zapomniany cmentarz.

Girlandy mogił, tyle starej pleśni,
wspomnienia, echo, jakie wzniecił bój,
rzuciły rdzę na miecz mej pieśni.
Rapsod nie mój, Ojczyzno, był, lecz Twój.
Jęczał w nim ton żałobny,
gdy o kamień grobów klingę
ostrzyłem,

pielgrzym bezdomny, poeta pogrobny,
dawną rzuciwszy formingę.
Wierzyłem:
jeśli tu nędza, śmierć i gnicie,
to tam, gdzie na kamieniach orły, sława,
tam życie.
Rozbić trumny. Niech się wydostawa
duch, Polska z katakumb! Niech żyje!..
— Była, jak zwykle, noc. —
Idę, w groby mieczem biję i biję...

W kuźni młodości
kułem swą moc.
Każdy cios miecza srodze przez pół
groby otwiera. I widzę: kości,
gnój i próchno.
Gdzie życie? Gdzie uwolniony wiew i szum?..
Ohydny, milczący dół,
pyłu maluchno,
i nic. Nie wstaje nikt, nie czyni. Wola skrzepła.
Wstąpiłem w dawny polski tum.
Legenda w ciemni polskich krypt oślepła.

Strzaskałem starą pieśń, miecz we rdzy.
Cóż mi po grobach, sławie i powieści,
krzyżach »Virtuti«, pamięci impetów
szarż, gdy Ty
nie wstaniesz. Rym Cię tylko pieści,
nie stworzy Cię, chociaż przypomni.
Potrzebny miljon czynów i miljon bagnetów.
Musimy być ogromni...

Swój sen pielgrzymi w kurzu polskich dróg
wykończę.
Dotarł błysk słońca
do moich bosych zakrwawionych nóg,
na upyloną, podartą opończę.

Stary kościół.

Posępnie mroczne stare nawy.
Wsparty na wiotkich kolumnach strop
chłonie modlitwy i szept łzawy
człowieczych próśb.
Nigdy tu pięść klątwy i groźb
nie podchodziła do ołtarzy,
nie biła. W ciszy, nieśmiele
pełza po taflach światła snop,
pokorny sen witraży.
Cisza jak śmierć w starym kościele.
Falą uległą, gdzieś z za krat
wypływa jęk litanji mniszej.
Umilkło życie. Zamarł świat.
Coraz mi ciszej, coraz ciszej...

W mury, w stare grube mury ktoś bije...
Nie słyszę jęku litanji z za krat:
burza mnie woła, przyzywa świat...
Świat żyje...
Drżą stare ściany pod wichury
skrzydlatej biciem. Szyby dzwonią.
Piorunów huk podważa mury
tysiącem skrzydeł. Skrzydła te gonią
z wyciem, z łomotem od szyb do drzwi.

Głos straszny woła:
»Otwórzcie mi!
»Otwórzcie mi wrota kościoła!
»Rozburzę nieme, złote ołtarze,
»moc moja w miljon skrzydeł się spiętrza!..«

Brzęk szyb... Drzwi i witraże
bryznęły. Burza runęła do wnętrza.

Chciałbym...

Chciałbym, żeby wiersze
rosły jak kwiaty rycerską wiosną:
podleją je łzy ostatnie — pierwsze
i kwiaty w miecze stalowe wyrosną.
A potem mowa
męska,
jak mieczów szczęk,
jak bitwa. Zwycięstwo, klęska,
radość i szczęście, groza i lęk...

Czemże na klindze oddech słowa,
jeśli ją w ogniu bojowym rozjarzę?!
Nie widać nic, gdy klinga w krwi!
Wszystko, czem żyję:
mieczem opowiem, co wymarzę,
mieczem wypełnię, co się śni,
mieczem wyzwolę i zabiję.

Nie wiem już, czy mam miecz,
czy mówię wiersze, nie wiem już.
Wiem, że mam robić wielką rzecz
i że w robocie klomby róż
i kwiaty dawne, stare wiersze,
muszę podeptać, choć kochałem.
Tamte łzy wyschły, ostatnie — pierwsze...

Kwiaty — nie miecze — — podeptałem.

Niewola.

Nie los, lecz moce wwaliły mnie w jamę,
w głęboką czeluść skalnych ścian,
na samo dno studniska.
Spuszczono także wody dzban,
bym żył, i kawał chleba —
i jeszcze w górze, dla urągowiska
rozwartą bramę
pozostawiono, płytę nieba.

Mam żyć w kamieniach, w pianie gór
wgniecionej w studnię.
Mogę pożywać — niebo, chleb, wodę,
myśleć i marzyć, jawnie, obłudnie,
jak chcę, byle nie działać.

Zwichrzę się, trzasnę w obły mur
raz, drugi, trzeci. Wściekły tan
powiodę, powiodę
na dnie, po lochu, od ścian do ścian.
Bezdennie głucha, wściekła siła
miota się kruszyć, bić, rozwalać!
Połupię złomy w drobny piarg!
Rozpaczy pięścią ściany strzaskam!

Pięść się skrwawiła.

Krew cieknie z warg.
Krwawą pięścią po murze klaskam,
a mur trwa.

Krzyk, od którego strach się jeży!
Może obudzi gdzieś w kimś lwa
samotny krzyk z głębokiej wieży...

Przez płytę nieba, niby przez sień,
światło, przyjaciel niewolnika,
schodzi do studni, do mnie schodzi.
Dzień.
Ominął straż
piątek promyka,
trąca jak dłoń, po lochu brodzi
i głaska twarz.

Po promienistym słońca sznurze
piąć się na szczyt. Wynijść ze studni.
Zgarnąć do siebie — świat w górze:
niebo, obłoki, ptactwo co lata,
pociąg co dudni,
ziemię co drży, faluje, rodzi...
Tam świat! Chcę świata!
Przestrzeń z dali do dali
hula jak dech, jak wola chodzi,
w dygotach fabryk młotem wali.
A ja — nie mogę.
Żyła ma każda — mocny sznur.
Serce — to młot:
bije, ponosi, rwie i targa —
w drogę!

Każda kropelka krwi, jak grot,
biegnie i mierzy, biegnie i mierzy...
A ja — nie mogę.
Mur.
Samotna, wściekła, głucha skarga
na jarny dnie bez władzy leży.

Niemoc i moc. Mur i ja, człowiek,
niewolnik w galop rozdygotany.
Coś pęta mnie i coś porywa
w czyn, do zmrużenia celnie powiek.
Jestem bez skrzydeł ptak rozśpiewany.
Dygot mój, moją pieśń, z gardła wyrzucić!
Puścić ją w świat! Niech wzywa!
Niech wzmaga pęd i czyn, jak krew!
Poczynam nucić.
Ze studni, z dna wytrunął śpiew,
rozpłynął się. Biega i dyszy,
wiruje, hula, dzwoni, krzyczy...
Do mnie pociągi, ruch, przestrzenie!
Do mojej ciszy!...
Tam — niby sygnał fabryk ryczy,
ujarzmił tłum, pognał szalenie...
Tam — łamie kratę ciężkich wrot,
przerywa tamy, skacze do chmur...

Zbliża się, już jest przy studni
zaczarowany śpiewem młot.
Już dudni.
Już kruszy mur.

Pole.

Hej pole hej, przestrzenne smugi!
Hej morze nieba nademną wkrąg!
Iść, lecieć, biec w powietrzne strugi,
rozpostrzeć żagle długich rąk.

Pole daleko i pole blisko,
pole drga, płynie, zatapia gońca,
pole wysoko i pole nisko,
bez dna, bez szczytu, bez ścian, bez końca —

Przestrzeń. Rzucam ją za, biorę przed siebie,
głową i dłońmi pruję w błękicie,
w rąk rozpostarciu dal się kolebie...
Hej życie!...

Kamieniarze.

Bez końca szosa. Pryzmy na niej
biało-szaremi sterczą rzędy,
niby nagrobki tych, co dla niej
przy pracy spluli resztę płuc.
Chodź ze mną. Porzuć wszystkie względy.
Będziem na szosie kamienie tłuc,
my — nowi, młodzi kamieniarze.

Sami pragniemy iść na szosę.
Zwykle przy pryzmie szare twarze
widziałeś, jak pryzma, nogi bose,
szare, jak pryzma, i ciężki młot.
Ten ciężki młot...
Te szare twarze...
Oddychaj kurzem, pracuj wśród słot —
to kamieniarze.

Zwabiła nas zgrzytna pieśń młota,
pracę i ciężar musimy zmóc.
Stąd ta na szosę iść ochota,
radość, że mamy kamienie tłuc.
Jak ciężki młot, ale jak tłucze!
Jak dobrze nam, że ręka mdleje!
Nic to, że deszcz twarze opłucze,

a pył zasuje i zasieje.
Tyle w nas nowej wstaje siły,
taka krzemienność!.. Gdybyśmy zwarli
ciężki nasz młot, mocą opiły,
z calutką szosą — możem ją stłuc!
Nie tak, jak tamci, co tutaj marli,
ci kamieniarze dawni bez płuc.

Posłuchaj zgrzytnej pieśni młota,
popatrz, jak kamień w szczerk się kruszy,
gdy my bijemy: to ochota,
to młoda pieśń, co świat poruszy.
O tak! Poruszy! My to wiemy.
Bo kiedy splujem resztę płuc,
jak tamci, to nim pomrzemy
z pracy nie z lat —
ujmiemy młot i będziem tłuc —
świat.

Katarynka.

W zaułki kręte wielkiego miasta
zmierzch sypie modrość pawich piór.
Słońce na szczytach wąskich domów
usiadło, niby złoty ptak gór,
a z bruków ulic i z załomów
noc już wyrasta.
Słońce i noc — zmierzchu rapsodja,
pieśń przeznaczenia wielkiego miasta.

Skąd ta melodja?..
Gra zmierzch, gra słońce, grają ulice...
I ja — gram:
gram zwykłą pieśń na katarynce.
Przystanę tam,
gdzie najludniejsze są piwnice,
oprę na lasce mej, jedynce,
pudło, nędzę zataję i lic bladość —
i gram, i gram... Zna korba mistrza.
Nie widać mnie, ale słyszycie:
wieczorną nędznych ludzi radość,
mieszkańców piwnic stęchłych gwar
i pogrzebanych dzwonów bicie,
wszystko, co jest, i — czar —
gram. Dłoń się rozbystrza.

Odwijam jakby wstęgę pieśni,
dalej i dalej, dalej — bez końca.
Nareszcie... nie to... już nie rozumiem...
Gram jak grajkowie jacy leśni —
do słońca!
Przestać nie mogę, nawet nie umiem.
Polata pieśń z ulic w ulice,
woła i czyni,
otwiera pieśń wszystkie piwnice.
Któż grajka winił!..

Wsparty na lasce mej, jedynce,
gram dziwną pieśń na katarynce.

Nie wiem też, kto, czy tłum czy noc,
wypadł na bruk, rozlał jak morze.
Nie wiem, w kim moc:
w tłumie czy w pieśni!
Bo pieśń pochwyci w cugle zorze,
a nędza z tłumem mnie zrówieśni.

Wsparty na lasce mej, jedynce,
gram pieśń do zórz na katarynce.

Wyspiański.

»...na miejscach widzów rozsiadła się trawa...«
Artur Górski »Na teatrze greckim«.

Mam szczęście iść poprzez cmentarze.
Z mych nastrzępionych myślą brwi
sny polatują na szumach wiatru,
sny o narodzie, narodu sprawa.
Nie cmentarz to: scena teatru,
na miejscach widzów rozsiadła się trawa.
Zapadły w darń życia miraże,
zaniemówiły potoki krwi.

Mam szczęście iść poprzez cmentarze.
Z mych nastrzępionych myślą brwi...
Czyż znów
przyjść do Was z książką marnych słów,
podszepnąć coś, komuś się żalić,
może zabawić?!..
Tymczasem, żeby sprawę sprawić,
trzeba mi słowa, które palić
jak ogień umie,
a bić jak młot. Słowem obalić
tłum i zbudzić naród — w tłumie!...

Stanąłem więc na mym teatrze,
wykutym w krąg kamiennych ław.

Słucham i patrzę.
Jak sen mój, dzwoni
cisza na tle cmentarnych traw.
Bo to, że grali mnie histrioni,
a naród spał, to było wczora.
Wygnałem ich w poszumy wiatru.
Dzisiaj innego chcę aktora:
przywołam naród do teatru.

Mam nastrzępione czynem brwi.
Wydrę swe serce i rzucę w ciszę:
niech oddal grzmi łoskotem krwi,
niech przecież chór usłyszę.

Kapiące dni, łez cichych rosa,
przeszły. Teatr mój ożył.
Jakiś robotnik, jakaś dziewka bosa,
tłum bezimienny na scenę się wprożył.
Ja — na widowni, a on — tam.
W takt mego serca, w rytm mojej krwi,
tak rzeczywiście, jakby bez snów,
sam —
rozwarł te drzwi,
przy których Konrad tyle tracił słów.

Twój płacz.

Ince.

Błądzę po obcem grzesznem mieście
bez wyjścia, tam i tu, wokoło.
Zamyka mnie ten obcy świat,
pędzi przez place, gna w ulic skręty...
Nie widzę wreszcie,
czy niebo pod, czy bruk mam nad.
Uderzam wciąż, kalecząc czoło,
o szczelne domy, niby o pręty.
Bez wyjścia tak, tam, tu i wkoło...

Aż nagle szeptem na kamienie
rozpełzł się deszcz, jak kilim z mgły.
Kropelki — dłonie, łzy, uciszenie...
Gdzie tkacz?..

To Ty!
Pamiętający o mnie Twój płacz!

W ramiona wezmę Cię...

W ramiona wezmę Cię, w ramiona,
i pójdziem w drogę, w życia gwar,
z wiarą, że szczęście się dokona
i czar.

Będziemy szli wiosną i wiosną,
wciąż. Zanieistnieje wrogi czas.
Kwiaty tu, i kwiaty tam rosną,
i w nas.

A gdy zechcemy spocząć kiędy,
na jakiejś darni, blisko dróg,
spadnie czas w wichru pyle wtedy,
jak kruk.

To będzie śmierć. Czy się ulękniem?
Z uśmiechem w oczy zajrzę Tobie
i uśmiechnięci, razem klękniem —
w grobie.

Jużem skoczył

Co to jest, że ktoś mnie zrodził,
i to, że ktoś kazał mi żyć
przez ileś lat, miesięcy, dni?!..
Kto myślał o tem? Kto się godził,
że ja mam być?..
I może idę, może się śni,
niby coś robię, czuję na pół,
i tak prowadzę, ciągnę życie,
a każdy krok spycha mnie w dół,
w piach, w grób, na gnicie.
Szumi i szumi dokoła świat...
To już tak blisko?..
Już tylko tyle zostało lat?..

Urodzić się, to znaczy spadać.
Spadzisty stok na małym globie —
jedyna, stroma ścieżka w grób —
to całe życie. Poradźże sobie
już... zaraz... Niema co biadać,
bo — trup...

A właśnie teraz nie chcę gnić!
A właśnie teraz nie chcę spadać!
Pragnę zwyciężać, dźwigać i bić!

Wstecz nie ucieknę, bobym się stoczył —
stromo i ślisko.
Krzyknę więc i — jużem skoczył
naprzód, co sił, tam, nisko.
Kopnąłem czas, jak psa, co szczeka,
i w nieskończonym nigdy tchu —
pędzę.
Dalej, hop, dalej...
Za mną, Wy! Niech nikt nie czeka!
Tu!..
Pędź, walcz, nieś, szalej!..
Prężnemi skoki tratuję nędzę
i grób po grobie.
Udepcę góry w gładkie boisko.
Los to ja. Co chcę, to zrobię.
Uczynię nawet z globu igrzysko,
bo pędząc, pędząc, dotrę do gwiazd,
śmierć swą ominę
i ziemię, proch niebiańskich miast,
podrzucę, jej bieg odwinę.

Słońce.

Ja, dziecko piwnic i podwórza,
tęsknię do słońca. Śni mi się słońce.
niby ognisty krąg latawca,
niby ognista grzywa duża,
złote warkocze, złote ogońce..
Gwiżdżący sprawca,
wiatr niemi trzpiota
nad dnem podwórza.
Jeśli chce, włóczy, kręci, miota,
jeśli chce, wstrzyma,
uczepi złotem źdźbłem do rynny,
czyniąc południe,
a sam upałem się nadyma,
a sam się puszy, sam się śmieje,
wolny, czy winny, czy niewinny,
polata rad i wieje, wieje...

Jestem jak wiatr, gwiżdżący sprawca,
co mi się śni, to, wolny, robię.
Wycinam złoty krąg latawca,
złote warkocze, złote ogońce,
podpalam, rzucam, puszczam sobie.
Ja, dziecko piwnic i podwórza,
mam swoje słońce

Ogniste koło w mrok się nurza...
A wtedy tamto spełza w dół
do mego słońca, w mroczną studnię.
Zjeżdża od rynny w dół po murze,
na złotych kręgach złotych kół,
południe.
Załaskotały, zagrzały po skórze
włosy słoneczne, moje włosy.
Ognisty słup wpadł między ściany.
Skłoniły się, wylały na mnie niebiosy.
Słońca chciwy,
oddycham słońcem, piję słońce,
piję bez miary. Słońcem pijany,
złote warkocze, złote ogońce
słonecznej grzywy,
tysiączne włosy, tysiączne nici,
wiążę do ścian, do progów sieni,
do szyb okiennych i do ram
brudnych suteryn, do kamieni,
do... jeszcze tam i... jeszcze tam...
(Już nie pochwyci słońca wiatr, już nie po-
[chwyci...)
A teraz — kij...
Schylę, wymierzę moją włócznię,
zacisnę mocno... Szarża! Bij!
W słońce!...
Przygważdżający, ciężki stuk,
aż zadrgał mi dzierżak na końcu.
Ognisty płyn chlusnął na włócznię:
leje się słońce przez wyłom w słońcu,
spływają złote słońca jutrznie
na bruk.

Spis rzeczy.

	Str.
Chimera	5
Legenda czynu	6
W okopach	9
Dzień 30 lipca	11
Ułan i dziewczyna	
1. Dwa światy...	14
2. Po co te łzy....	16
3. Spłoszyłem...	18
Tyraljera	19
Cmentarz żołnierski	20
Stolica	
I	22
II	23
III	24
Mundur	25
Dziedziniec w koszarach	27
Do kolegi.	29
Sława	30
Sam na sam z orłem	
I	31
II	32

Str.
Droga 33
Stary kościół 37
Chciałbym.... 39
Niewola 40
Pole 43
Kamieniarze 44
Katarynka 46
Wyspiański 48
Twój płacz 50
W ramiona wezmę Cię... . . . 51
Jużem skoczył 52
Słońce. 54

TWO-WYDAWNICZE
ŚWIATŁO

BRODART
MADE IN U.S.A.

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 078604177